

Od autora: Bardzo dawno mnie tu nie było. Próbuję wrócić do pisania, a ten fragment, który przedstawiam, w założeniu ma być częścią większej całości. Po pierwsze: nie wiem, kiedy będzie część następna - nadal trudno skupić mi się na pisaniu; po drugie i najważniejsze: to Wy, Czytelnicy, zdecydujecie, czy warto iść dalej tym tro(u)pem, czy też lepiej zacząć nową historię. Zdaję się na Was, bo w końcu nie piszę w próżnię...

1

Najpierw zaczął padać drobny śnieg. Nie było go dużo. Spadał na ziemię i natychmiast znikał. Po godzinie płatki stały się większe. Śnieg sypał gęściej i mocniej. Tworzył wirującą szarżę, która atakowała skuloną z zimna ziemię, lecz tym razem w zetknięciu z nią, nie znikał. Pęczniał w oczach, było go coraz więcej i więcej. W końcu wieś utonęła pod grubą warstwą białego puchu. Gałęzie drzew uginały się pod jego ciężarem i złowieszczo trzeszczały. Te słabsze pękały i z hukiem spadały wprost w wysokie zasy, jakby ponownie chciały ukryć się w ramionach śniegu.

Po dziesięciu dniach, gdy już księżyc stanął w pełni, tak samo nagle jak zaczęły się opady, przestało sypać. Wtedy właśnie Krasowski, który próbował przekopać ścieżkę od domu w głąb wsi, natknął się na ciało.

Kiedy trafił łopatą na przeszkodę pomyślał, że to konar drzewa lub jakieś zdechłe zwierzę, lecz z każdym sztychem rozumiał, że to nie truchło zwierzęce tylko człowiek; najpierw zobaczył głowę, a później resztę ciała pozbawionego rąk. Pomimo panującego chłodu, na czole Krasowskiego pojawiły się krople potu. Nerwowo spojrzał za siebie, ale wokół było pusto i cicho. Pochylił się nad trupem; ciało było odwrócone twarzą do ziemi, więc nie mógł go rozpoznać. Chwycił łopatę i delikatnie rozgarnął zmarznięty śnieg i wtedy ujrzał coś, co zmroziło go jeszcze bardziej, niż panujące na dworze zimno. Przed nim ukazała się kobieca pierś. Krasowski zbladł. Ożesz kurwa – wykrztusił i przełknął ślinę, która jak wielka gula zaległa w gardle. Znowu rozejrzał się nerwowo, ale nadal wokół było pusto i prawie idealnie cicho. Tylko szumiący w gałęziach wiatr przypominał, że życie jeszcze nie całkiem tutaj zamarło. Krasowski cofnął się kilkanaście metrów w stronę domu, żeby przynieść miotłę. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć o wszystkim żonie, ale zdecydował, że to nie miałoby sensu. W niczym by nie pomogła, za to hałasu byłoby co niemiara – tak sobie przetłumaczył.

Miotła zrobiona była z twardych, brzoźowych witek, ale Krasowski starał się być bardzo delikatny przy zmiataniu śniegu z ciała, jakby obawiał się, że jeszcze w jakiś sposób może kobiecie zaszkodzić. Dopiero po jakimś czasie zorientował się, że trup pozbawiony był nóg. Wzdrygnął się ponownie. Chciał łopatą zrobić wokół makabrycznego znaleziska okrąg, tak by miejsce było widoczne już z daleka i wtedy trafił na najmniejszą przeszkodę – małe ciało, prawdopodobnie dziecka, pozbawione głowy i żołądek Krasowskiego eksplodował, a na biały śnieg wylała się cała jego zawartość, tworząc jedyną kolorową plamę na bezkresnej, śnieżnej polaci.

2

Łotrowy to nie była wieś ważna na mapie świata. Ba, nie była nawet ważna na mapie powiatowej. Leżała z boku drogi zwanej główną, chociaż to określenie odnosiło się bardziej do bycia "głównie nieprzejezdną" i pora roku nie miała tu żadnego znaczenia – wiosną, gdy przychodziły roztopy, droga zamieniała się

w grzęzawisko, które można było pokonać tylko wozem zaprzęgniętym w silne konie. Zimą, taką jak teraz mroźną i śnieżną, nawet koniom było ciężko, ale gdy była taka potrzeba, by udać się do Dorębnia, do powiatu, zbierało się kilkunastu mieszkańców i torując sobie drogę łopatami, wspomagali konny pojazd w przeprawie. Umowa była taka: każdy pomaga, więc wóz, który docierał do miasteczka przewoził wszystko, co zostało zamówione przez pozostałych mieszkańców wsi a czego nie można było kupić w miejscowym sklepie.

W Łotrowach mieszkali przede wszystkim tutejsi. Tutejsi to ci, którzy byli tu jeszcze przed wojną i przeżyli pacyfikację wsi podczas wojny. Nietutejsi, a tych było niewielu, to przesiedleńcy zza Buga, do których mieszkańcy odnosili się z rezerwą. Było ich niewielu, raptem cztery rodziny, w tym, jak się później okazało, rodzina Pogonowskich, których trupy odnalazł Krasowski. Na razie jednak ciała leżały w zmarzniętym śniegu, a Krasowski, którego żołądek wrócił już do normalnego trybu działania, zastanawiał się, co ma teraz zrobić.

Rozum podpowiadał, że trzeba zgłosić tę sytuację, ale wykonanie tego nie było wcale takie proste. Jego dom leżał na skraju wsi i był oddalony od najbliższych zabudowań o jakieś czterysta metrów, co w normalnych warunkach nie stanowiłoby żadnego problemu, ale teraz, gdy warstwa śniegu była gruba na prawie metr, dotarcie do sąsiada graniczyło z cudem. Krasowski rozglądał się bezradnie dookoła, jakby szukał pomocy lub pomysłu na to, co ma zrobić, lecz wokół panowała cisza. Nie było nikogo, kto mógłby podjąć za niego decyzję.

Z oddali słychać było tylko ujadanie psów. Śnieg skrzył w poświacie księżyca. Zapowiadało się na piękną, chociaż chłodną noc. Krasowski stał w bezruchu i tylko para wydobywająca się z jego ust wskazywała, że pośród trzech trupów jest jedynym żyjącym. Po chwili, klnąc pod nosem, ruszył w stronę domu.

Nic tu po mnie, rzekł do siebie. Wcześniej jednak wbił miotłę trzonkiem w dół, w zwał śniegu zalegający tuż przy trupie dziecka, by nazajutrz łatwo trafić w to miejsce. Przez chwilę zastanawiał się jak ochronić ciała przed zwierzętami, ale w końcu machnął ręką, bo cóż mógł zrobić sam, bez pomocy? Gównu, zaklął ponownie i mamrocząc coś pod nosem, brnął w grząskim śniegu, kierując się w stronę domu. Po kilkunastu minutach dotarł do zabudowań. Zanim jednak wszedł do chaty, spojrzał w kierunku opuszczonego przed chwilą miejsca: z daleka majaczyła strzecha brzoźowych witek, wyglądająca z tej odległości jak głowa starca, pochylającego się nad ziemią. Krasowskiemu wydało się, że zobaczył jeszcze coś, jakby cień postaci ale, że było daleko a księżyc właśnie schował się za chmurami, uznał, że to tylko zwidy zmęczonych oczu i machnąwszy ręką, zamknął za sobą drzwi.

Gdyby księżyc nie zniknął za warstwą burych chmur, a Krasowski nie znajdował się tak daleko, dostrzegłby, że cień, który wcześniej zauważył, nie był tylko zwidem. Odziana w wielki kożuch postać pochyliła się nad ciałami. Z jej oczu spłynęły łzy i spadły wprost na nagą pierś kobiecego trupa. Postać spojrzała w kierunku chaty Krasowskiego i dopiero, gdy ten zamknął za sobą drzwi, schyliła się nad ludzkimi szczątkami i zaczęła bezgłośnie łkać.

Wyglądało to przerażająco: trzy trupy, pochylona nad nimi postać i łzy, które kapały wprost na ciała, by po chwili zamienić się w soplek lodu.

stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

msh, dodano 30.11.2017 13:35

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.